

Dawno, dawno temu — kiedy nasi dziadkowie byli jeszcze zupełnie mali — żył sobie pewien doktor. Nazywał się Dolittle — a konkretnie dr med. John Dolittle, gdzie „dr med.” oznacza, że był doktorem medycyny z prawdziwego zdarzenia i wiedział całe mnóstwo różnych rzeczy.

Żył w Puddleby, niewielkim miasteczku położonym nad rzeką Marsh. Wszyscy tamtejsi mieszkańcy, młodzi czy starzy, znali go z widzenia. I zawsze, gdy przechadzał się ulicami w swoim cylindrze, powtarzali: „Spójrzcie, idzie Doktor! Ten to ma łeb!”. Psy i dzieci podbiegały, żeby chodzić za nim krok w krok i nawet wrony, które mieszkały na wieży kościelnej, krakały z uznaniem na jego widok i grzecznie skłaniały głowy.

Dom Doktora, położony na obrzeżach miasta, był raczej niewielki, otaczał go jednak rozległy ogród z trawnikiem, na którym — w cieniu wierzb płaczących — stały kamienne ławy. Domem zajmowała się siostra Doktora, Sara, ale ogród pielęgnował zawsze on sam.

Bardzo lubił zwierzęta i miał ich wiele. W stawie, położonym na obrzeżach posesji, hodował złote rybki, w spiżarni trzymał króliki, w pianinie białe myszki, w szafie wiewiórkę, a w piwnicy jeża. Miał też krowę z cielaczką i starego, kulawego konia, któremu stuknęły już 22 lata. A do tego kury, gołębie, dwa jagniątko i wiele innych zwierząt, ale najbardziej z nich wszystkich lubił kaczkę Dab-Dab, psa Dżipa, prosiaczka Gub-Gub, papugę Polinezję i sowę Tu-Tu.

Siostra Doktora często narzekała, że przez te wszystkie zwierzęta w domu zawsze jest brudno. Co gorsza, zdarzyło się, że pewna starsza pani z reumatyzmem, pacjentka Doktora, podczas wizyty przypadkiem usiadła na jeżu, który spał akurat na kanapie, i więcej już nie przyszła. Od tego czasu co sobotę jeździła do położonego o całe 15 kilometrów dalej miasteczka Oxenthorpe, do zupełnie innego lekarza.

Pewnego dnia siostra Doktora, Sara Dolittle, przyszła do niego i powiedziała:

— Johnie, czy naprawdę uważasz, że chorzy ludzie powinni przychodzić do domu pełnego zwierząt? Żaden szanujący się lekarz nie trzymałby w salonie stada jeży i myszy! Zwierzęta odstraszyły już czworo klientów! Pan Jenkins oraz pastor mówią, że ich stopa więcej w tym domu nie postanie, choćby nawet mieli kopnąć w kalendarz! Biedniejemy z dnia na dzień. Jeśli tak dalej pójdzie, nikt nie zechce się u ciebie leczyć!

— Kiedy ja wolę zwierzęta od ludzi — powiedział Doktor.

— Bzdury! — fuknęła jego siostra i wypadła z pokoju.

Czas mijał. Doktorowi wciąż przybywało zwierząt, a ubywało pacjentów. W końcu przychodził do niego już tylko Sprzedawca Mięsa dla Kotów, któremu zwierzęta w ogóle nie przeszkadzały. Tyle że Sprzedawca zwykle nie miał grosza przy duszy, a chorował tylko raz do roku — na Boże Narodzenie, kiedy płacił Doktorowi sześć pensów za flaszeczkę lekarstwa.

Trzeba wam wiedzieć, że nawet w owych czasach (dawno, dawno temu!) sześć pensów nie wystarczyło na życie, więc całe szczęście, że Doktor miał jeszcze co nieco w skarbonce!

Ale kolejne zwierzęta, które wciąż przygarniał, trzeba było przecież karmić. Oszczędności topniały w oczach.

W końcu sprzedał swoje pianino, a myszom urządził przewodzkę do sekretarzyka, ale pieniądze, które w ten sposób zdobył, również nie starczyły na długo. Ostatecznie musiał pozbyć się nawet brązowego, odświeżonego garnituru i tak, krok po kroku, biedniał coraz bardziej.

Teraz, gdy przechadzał się ulicami w swoim cylindrze, ludzie mówili do siebie: „Spójrzcie, idzie John Dolittle, doktor medycyny! Swego czasu był najśłynniejszym lekarzem w tej części kraju, a teraz? Co za widok! Nosi dziurawe skarpety i jest biedny jak mysz kościelna!”

Ale psy, koty i dzieci wciąż przybiegały, żeby chodzić za nim po mieście krok w krok, tak samo, jak kiedy był bogaty.

Pewnego razu, gdy Doktor siedział w kuchni i rozmawiał ze Sprzedawcą Mięsa dla Kotów, który przyszedł do niego z bólem brzucha, Sprzedawca zapytał:

— Może zamiast ludzi zacznie pan leczyć zwierzęta?

Papuga Polinezja, która obserwowała przez okno deszcz i nuciła pod dziobem smutną piosenkę, umilkła, żeby posłuchać.

— Niech pan pomyśli, Doktorze — ciągnął dalej Sprzedawca. — Przecież wie pan o zwierzętach absolutnie wszystko. A już na pewno o wiele więcej niż tutejsi weterynarze. Pana książka... ta o kotach... jest wspaniała! Ja, co prawda, nie umiem czytać ani pisać... bo inaczej może sam pisałbym książki... ale moja żona Teodozja jest najprawdziwszą uczoną. I przeczytała mi pana dzieło na głos. Jest wybitne. Nie można tego ująć inaczej: wybitne. Nie zdziwiłbym się, gdyby sam okazał się pan być kotem. Doskonale rozumie pan, jak one myślą. Proszę posłuchać: na leczeniu zwierząt można nieźle zarobić. Wiedział pan o tym? Niech pan pomyśli: przysyłałbym do pana wszystkie staruszki z chorymi psami i kotami. A gdyby zwierzątki za długo były zdrowe, dorzucałbym coś niecoś do mięsa, które sprzedaję, żeby raz dwa się pochorowały.

— Oj, nie — wtrącił szybko Doktor. — Co to, to nie. To się nie godzi.

— Nie mówię o poważnych chorobach! — odparł Sprzedawca Mięsa dla Kotów. — Tylko o drobnych przypadłościach, żeby były ciut nie w sosie! Nie miałem na myśli nic więcej. Ale może ma pan rację, że nie wypada tak traktować zwierzątek. Zresztą gwarantuję, że i tak ciągle będą chore, bo staruszki regularnie je przekarmiają. Do tego dochodzą jeszcze okoliczni gospodarze z kulawymi końmi i cherlawymi owieczkami pod opieką. Wszyscy oni przychodziliby właśnie do pana. Proszę zostać doktorem od zwierząt!

Kiedy Sprzedawca Mięsa dla Kotów wyszedł, papuga sfrunęła z parapetu i wylądowała na stole.

— Facet gada z sensem — powiedziała. — To właśnie powinienesz zrobić. Zostać doktorem od zwierząt. Opuść sobie ludzi, skoro nie mają dosyć oleju w głowie, żeby zorientować się, że jesteś najlepszym lekarzem na świecie. Opiekuj się zwierzętami. One połapią się raz dwa. Bądź doktorem od zwierząt.

— Doktorów od zwierząt nie brakuje — powiedział John Dolittle, wystawiając przy tym doniczkę z kwiatami na parapet, żeby mogły skorzystać z deszczu.

— Jasne, że nie brakuje — odparła Polinezja. — Ale wszyscy są zupełnie do bani. Słuchaj, Doktorze. Coś ci powiem. Wiedziałeś, że zwierzęta umieją mówić?

— Wiem, że potrafią to papugi — odparł Doktor.

— No cóż, my, papugi, umiemy mówić w dwóch językach: po ludzku i po ptasiemu — wyjaśniła z dumą Polinezja. — Jeśli powiem „Polly chce krakersa”, bez trudu mnie zrozumiesz. Ale posłuchaj tego: Ka-ka oj-iii, fii-fii?

— Wielkie nieba! — zakrzyknął Doktor. — Cóż to znaczy?

— To znaczy: „Czy owsianka już gotowa?”, tyle że po ptasiemu.

— Ojej! Co ty powiesz? — rzekł Doktor. — Nigdy wcześniej tak do mnie nie mówiłaś.

— A niby po co? — spytała Polinezja i wytrzepała sobie z lewego skrzydła okruszki krakersów. — I tak byś nie rozumiał.

— Powiedz coś jeszcze — poprosił podekscytowany Doktor. Skoczył do szafy i wrócił z ołówkiem i zeszytem na domowe wydatki. — Mów powoli, a ja będę wszystko spisywał. To ciekawe... arcyciekawe... A do tego zupełna nowość! Najpierw poproszę o ptasi alfabet. Tylko nie za szybko.

W ten oto sposób Doktor dowiedział się, że zwierzęta mają własny język i że potrafią ze sobą rozmawiać. Przez całe deszczowe popołudnie Polinezja siedziała na kuchennym stole i dyktowała kolejne słowa, które skrzętnie zapisywał.

Kiedy nadeszła pora na herbatę i do środka wkroczył pies Dżip, papuga powiedziała Doktorowi:

— Widziałeś? Właśnie coś do ciebie powiedział.

— Wyglądało, jakby po prostu podrapał się w ucho — odparł Doktor.

— Przecież zwierzęta nie zawsze mówią paszczą czy dziobem — wyjaśniła z naciskiem papuga. — Mówią za pomocą uszu, łap, ogonów... wszystkiego! Czasem wcale nie potrzebują wydawać przy tym dźwięku. Widzisz, jak pies marszczy jedną stronę nosa?

— Co to znaczy? — spytał Doktor.

— To znaczy: „Nie widzisz, że przestało padać?” — odparła Polinezja. — Zadał ci pytanie. Psy używają nosów niemal wyłącznie do pytań.

Z biegiem czasu papuga pomogła Doktorowi tak dobrze poznać język zwierząt, że sam nauczył się do nich przemawiać i potrafił zrozumieć każde ich słowo. Wtedy raz na zawsze zrezygnował z leczenia ludzi.

Kiedy tylko Sprzedawca Mięsa dla Kotów ogłosił wszem i wobec, że John Dolittle zamierza pomagać zwierzętom, starsze panie zaraz zaczęły przyprowadzać mu swoje przeżarte ciastkami mopsy i pudle. Rolnicy pokonywali wiele mil, żeby mógł rzucić okiem na ich chore krowy i owce.

Pewnego dnia sprowadzono mu konia pociągowego; biedak był zachwycony, że wreszcie znalazł człowieka, który zna jego język.

— Sęk w tym, Doktorze — powiedział koń — że weterynarz z za wzgórza to absolutny partacz. Leczy mnie od sześciu tygodni. Myśli, że okulałem... a potrzebuję tylko okularów! Ślepnię na jedno oko. Dlaczegoż to koń nie miałby nosić okularów tak samo jak człowiek?

Tymczasem durny lekarz zza wzgórza ani razu nawet nie zbadał mi wzroku. Ciągłe tylko przepisuje mi wielkie tabletki. Próbowiałem wszystko mu wyjaśnić, ale nie zna ani słowa po końsku! Potrzebuję okularów.

— No tak, oczywiście — powiedział Doktor. — Migiem je dla ciebie zdobędę.

— Chciałbym mieć parę podobną do pańskich — dodał koń. — Tyle, że z zielonymi szklami. Dzięki nim słońce przestanie mnie razić podczas pracy na polu.

— Naturalnie — odrzekł Doktor. — Dostaniesz zielone.

— Wiesz, w czym tkwi problem? — spytał koń, gdy Doktor otworzył już drzwi frontowe, żeby go wypuścić. — Problem w tym, że każdy uważa, że potrafi leczyć zwierzęta... bo one nigdy nie skarżą się na swój los. Ale w rzeczywistości o wiele trudniej być dobrym lekarzem od zwierząt niż od ludzi. Syn mojego gospodarza uważa, że wie o koniach wszystko. Szkoda, że go pan nie widział! Ma mózdzek wielkości szarańczy, a twarz tak tłustą, że w ogóle nie widać mu oczu! W zeszłym tygodniu próbował robić mi okład z gorczycy.

— Gdzie go przyłożył? — spytał Doktor.

— Przyłożył? Nigdzie — odparł koń. — Powiedziałem tylko, że próbował. Kopnąłem go, aż wpadł do stawu dla kaczek.

— No, no! — rzucił Doktor.

— Na co dzień jestem bardzo spokojny — wyjaśnił koń. — Spokojny i cierpliwy w stosunku do ludzi. Nie lubię robić hec. Ale kiedy weterynarz przepisał mi niewłaściwe lekarstwo, a ten rumiany dureń zaczął odstawiać swoje cyrki, zwyczajnie nie wytrzymałem.

— Mocno go poturbowałeś? — spytał Doktor.

— Skąd — odparł koń. — Kopnąłem tak, żeby nie zrobić mu poważnej krzywdy. Teraz to on jest pod opieką weterynarza. Na kiedy będą gotowe moje okulary?

— Dostaniesz je w przyszłym tygodniu — powiedział Doktor. — Przyjdź we wtorek. Do zobaczenia!

John Dolittle zamówił wielkie, porządne okulary o zielonych szklach, w których koń pociągowy widział tak doskonale, że przestał ślepnąć na jedno oko.

Wkrótce wiele zwierząt hodowlanych z okolic Puddleby zaczęło nosić okulary, a ślepych koni nikt już nie widywał.

Podobnie miały się sprawy z innymi zwierzętami, które przyprowadzano Doktorowi. Kiedy tylko orientowały się, że zna ich język, mówiły mu, jak się czują i gdzie je boli, dzięki czemu z łatwością je leczył.

A potem wracały do siebie i opowiadały znajomym, że w małym domu z wielkim ogrodem mieszka doktor, którego naprawdę warto odwiedzić. Wkrótce wszystkie chore zwierzęta — konie, krowy, psy, ale i polne maleństwa, takie jak myszy, szczury wodne, borsuki i nietoperze — zaczęły przybywać właśnie na obrzeża miasteczka. Ogród Doktora był więc niemal zawsze pełen pacjentów, którzy próbowali wepchnąć się na wizytę.

Imię i nazwisko:

Po przeczytaniu tekstu, odpowiedz na poniższe pytania:

1. Opisz w trzech zdaniach własnymi słowami historię opisaną w tekście.

.....
.....
.....
.....

2. Jaki był doktor Dolittle? Wymyśl pięć przymiotników, których można użyć do opisania doktora.

.....
.....
.....

3. W jaki sposób doktor Dolittle osiągnął sukces i stał się najlepszym lekarzem od zwierząt?

.....
.....
.....
.....
.....